Od autora: Ten rozdział wyglądał zupełnie inaczej. Nawet bardzo. Przeczytałem jednak komentarz Alszamanki i przeczytałem kilka razy całość i uznałem że tak. Że tak się nie robi, tak się nie kończy. I skróciłem, by zakończyć raz jeszcze tak, jak trzeba.

Duch:

18: Zielone Miasto

Całe miasto jest zielone. Miasto, pfff. Raczej jego ruiny. Niewiele lat musiało upłynąć, by natura upomniała się o swoje, a wszystko pokryło się soczystą zielenią. Ulice są teraz niewidoczne pod dywanami gęstych traw, na których wciąż można dostrzec liczne, obłe wybrzuszenia - to wraki dawnych samochodów, tych, które nie rozsypały się jeszcze całkowicie z powodu korozji i zmieniły się w piękne stelaże dla roślinności. Bloki mieszkalne, te, które przetrwały *Katastrofę*, również pokryły się roślinami. A pomiędzy nimi mnóstwo dzikich zwierząt - jednak tak bardzo innych, niż kiedyś. Kiedyś były tylko dzikie *psy*, *szaraki* i *gargulce*. Potem nadeszły kolejne. Przez ten cały czas, spotykając najróżniejszych, migrujących ludzi, dowiedziałem się też, co właściwie się stało tak naprawdę.

Wszystko zaczęło się w wakacje, gdy Wielki Zderzacz Hadronów zadziałał. Cząstki zderzyły się, uwalniając energię. Ta z kolei wywołała sejsmiczną falę, silniejszą i potężniejszą od wszystkich dotychczasowych, zarejestrowanych trzęsień Ziemi. Fala kilkaset razy obiegła kulę ziemską, a na terenie Wielkiego Zderzacza rozpoczęła się reakcja łańcuchowa, powodująca kolejne sejsmiczne fale raz po raz obiegające Ziemię i niszczące w ogromnych trzęsieniach wszystko. Udało się zatrzymać ją dopiero trzema manewrującymi pociskami balistycznymi, oczywiście z głowicami atomowymi. Potrójny atomowy wybuch zatrzymał falę. Ale po ich uderzeniu ludzkość padła na kolana, liczebność spadła co najmniej o połowę i władzę powoli, ale uparcie przejmowała nad wszystkim natura. Ludzie stali się tylko jej drobnym elementem. W dodatku często występującym w charakterze zwierzyny łownej.

Dokładnie tak, jak na przykład tamten młody facet. Obserwowałem go przez lornetki od dobrych kilku chwil. Był typowym zbieraczem, chyba nawet pozbawionym broni - bo w obecnych czasach długiej maczety nie można było uznać za broń co najwyżej za narzędzie. Znałem zadania takich jak on. Codzienne wyjścia z kryjówki, poszukiwanie owoców, roślin, które były na tyle zdrowe, by dało się z nich przyrządzić posiłek, przy odrobinie szczęścia przywleczenie czegoś małego, co wpadło w sidła. Teraz jednak niczego nie zbierał, ale po prostu uciekał. Ścigał go duży niedźwiedź, chociaż niespecjalnie przypominał niedźwiedzie, o których uczyłem się kiedyś w szkole, czy widywałem w zoo. Na jego ramionach i plecach widać było potężne, guzowate narośla, a długie kły wystawały z paszczy. Z każdym krokiem czterech ogromnych łap wyrzucał za siebie kawałki wydartej ziemi i mchu, a nierzadko również i resztki starego asfaltu. W zasadzie, tak naprawdę nie nawet miałem pewności, czy ten zwierz był w ogóle jakąś szaloną, wyrośniętą na radiacyjnym doładowaniu mutacją niedźwiedzia. Może wywodził się z dzików? Zresztą, nie miało to żadnego znaczenia. Ważne było to, że wiedziałem, jak było to groźne zwierzę i wiedziałem, gdzie trafić, żeby zabić. Obok mnie leżał wyborowy karabin, ale nie zamierzałem na razie interweniować. Amunicja była bardzo cenna, bo coraz trudniej było ją znaleźć. Cóż, kończyła się, jak wszystko inne. W zasadzie już od dłuższego czasu zastanawiałem się, co z *bronią*. Coraz częściej myślałem o jakiejś dobrej, myśliwskiej kuszy. Tylko czy taką znajdę?

- Interweniujemy? - zapytała leżąca obok mnie osiemnastolatka, wyrywając mnie z ponurych myśli o *broni*. Popatrzyłem na nią krytycznie. Wiedziałem, że aż paliła się do strzelania. Cóż, odkąd poznaliśmy się pięć lat temu naprawdę bardzo dużo się przy mnie nauczyła. Wtedy była jeszcze dzieckiem.
- Wyluzuj, Terka - powiedziałem. - To nie nasza sprawa - dodałem, chociaż wiedziałem, że sprawa jest już przegrana. Sięgnęła po leżący między nami wyborowy karabin i przyłożyła sobie kolbę do ramienia.
- Poradzisz sobie? - zapytałem, wciąż obserwując, jak mężczyzna ucieka rozpaczliwie po zielonym dywanie, manewrując pomiędzy porośniętymi wrakami aut. Zbliżał się do nas błyskawicznie, ale dystans między nim, a niedźwiedziem malał w jeszcze szybszym tempie. Wiedziałem, że nie zdąży dobiec do budynku. Moja towarzyszka spokojnie przesuwała lufę karabinu, śledząc cel.
- Proszę cię, Duch. Miałam dobrego nauczyciela - powiedziała kpiąco, po czym sekundę później wypuściła głośno powietrze i wystrzeliła. Wojskowy Bor huknął i pocisk błyskawicznie pokonał ledwie pół kilometrowy dystans. Trafienie było idealne - w prawą łopatkę niedźwiedzia, tuż obok głowy. Zwierzę zaryczało gniewnie, zrobiło jeszcze kilka kroków, wytrącając pęd na odcinku kilkunastu metrów, by wreszcie zatrzymać się niemal majestatycznie i runąć na brzuch. Mężczyzna w pierwszym momencie nawet nie zwolnił, dopiero po kilkunastu kolejnych metrach zatrzymał się i usiadł na gęstej, wysokiej trawie. Obserwowałem go przez lornetki, jak ciężko oddychał przez maskę osłaniającą wyłącznie drogi oddechowe. Obok rozległ się brzdęk, gdy Terka przeładowała karabin, a potem wysunęła magazynek o pojemności dziesięciu nabojów i z kieszeni policyjnych, czarnych spodni bojowych wyciągnęła pojedynczy nabój. Szybko doładowała magazynek i wsunęła go z powrotem. Teraz ponownie zapadła cisza i *zielone miasto* znów żyło swoim własnym, powolnym życiem.
- Widzisz Duch? - powiedziała z uśmiechem. - Jeden strzał. Ale powinniśmy się zbierać, robi się późno - dodała, a ja uniosłem głowę i popatrzyłem na zachód. To prawda. Niebo było już pomarańczowe.

Zeszliśmy z dachu na ostatnie piętro. Terka szła za mną, ja trzymałem Kałasznikowa przyciśniętego do ramienia i kontrolowałem strefę przed sobą. Po mojej ukochanej FN-nce pozostało mi tylko wspomnienie. W końcu zabrakło do niej amunicji. Standardowy nabój 7,62 × 39 mm wciąż jest znacznie łatwiejszy do zdobycia. Schodziliśmy powoli krok po kroku. Nie było już dzikich psów ani gargulców, takich, jakie znałem, ale watahy liczące czasem nawet i kilkanaście sztuk pso-wilków rozpanoszyły się po mieście. One były groźniejsze. Cwane, wredne, wiecznie głodne, skoczne jak małe, wściekłe sprężynki i atakujące grupą. Gdy byliśmy w połowie piątego piętra, przystanąłem na chwilę i oparłem się o ścianę. Oddychałem ciężko przez maskę, czułem w płucach ogień. Na moment uniosłem maskę ponad usta i nos, po czym splunąłem siarczyście w stronę ściany. Gęsta, ciemnoczerwona ślina zmieszana z krwią przykleiła się i za cholerę nie chciała spływać w dół. Terka stanęła obok mnie i spojrzała mi w oczy z czułością przez wizjer swojej maski.
- Jak tam, Duch, dajesz radę? - zapytała, po czym uniosła swojego Kałasznikowa i spojrzała z progu w jedno z mieszkań. - Możemy tutaj zostać na noc - zaproponowała, ale musiała przecież z góry wiedzieć, jaka będzie moja reakcja. Poodychałem jeszcze przez kilka chwil z wysiłkiem, a po chwili nieco się uspokoiło. Bezruch pomógł, organizm mógł złapać trochę nadwyżki tlenu przez zmasakrowane płuca. I pomyśleć, że to wszystko tylko przez ten jeden, jedyny, pieprzony raz, kiedy nawciągałem się gorącego od płonących opon powietrza, gdy siedziałem przypięty do latarni. Cóż, umierałem. Na raka, a może tylko zapalenie płuc. Kurde, raczej nikt tutaj nie zrobi mi prześwietlenia. Diagnoza...? Cóż, tutaj, jak to mówią, patolog najlepszym diagnostą. O ile ktoś będzie chciał mnie pokroić. Pokręciłem głową i ruszyłem w dół schodów, przesuwając lufę od lewej do prawej. Do naszej kryjówki nie było daleko.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

MarcinD, dodano 03.12.2019 15:02

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.